№ 26. Warszawa, dnia (13) 25 Czerwca 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu z szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz z szpaltowy garmontu kop. 50.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika" — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał trzeci.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści" w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Z za rzek i mórz.

Jeśli istotnie zdrowie jest jednem z największych dobrodziejstw, a niema podobno nawet między oponentami z zasady takiego, któryby temu pewnikowi zaprzeczyć się odważył, jeśli zdrowie jest rzeczywiście najwyższem dobrodziejstwem i darem najszacowniejszym, to każdego, kto nam mówi o zachowaniu tego skarbu, o prezerwatywach, hygienie i metodzie racyonalnej podtrzymywania tak znikomego kapitału, słuchać winniśmy z natężoną uwagą. Juścić tak w tym wypadku, jak w każdym innym wskazania muszą być poparte dowodami—ostrzeżenia przykładem, a doskonałość metody pomyślnym jej rezultatem, i dlatego nie zwykliśmy zasięgać rady u tych, którzy nieopatrznie szafując otrzymanym zapasem sił roztrwonili je przed czasem, ale przeciwnie zupełnie, zaciekawiać nas będzie zawsze gospodarka hygieniczna jakiegoś stuletniego człowieka, któremu udało się znacznie ponad przeciętną normę przedłużyć życie swoje. Tak się też dzieje zwykle, i dzisiaj po śmierci Gladstone'a, rozpowiada sobie świat cały w pojedyńczych rozmowach i za pomocą druku o tem wszystkiem, co on zachowywał, a czego się strzegł, czem się żywił—jak żył jednem słowem. Pełne są dzienniki przypowieści i anegdot na ten temat interesujący. Otóż wielki mąż stanu zawdzięczał podobno swoje wyborne zdrowie i swój wiek późny (urodził się w 1809 r.) temu, że miał, wedle jego własnego wyrażenia, uważać żołądek za króla całego organizmu, ale króla w ścisłem znaczeniu konstytucyjnego. Potentatowi temu nie mógł odmówić panowania, bo mu natura takie prawo nadała, ale mu za to stanowczo rządzić zabronił. Tę atrybucyę przyznał głowie i dzięki temu stworzył sobie metodę (regime), którym się chlubił chętnie w towarzystwie młodszych ludzi. Nie zaniedbywał też zasięgania rad u małej liczby starszych od siebie, a jednym z takich był sir Izaak Holden, dziekan angielskiego parlamentaryzmu, o 7 lat od niego starszy. Zapytany ten stuletni już podówczas staruszek streścił mu swój sposób życia w tych słowach: „najwyższa wstrzemięźliwość i dwie godziny przechadzki dziennie, bez względu na pogodę." Druga część mogła się oczywiście obejść bez komentarzy — pierwszą, to jest traktującą o wstrzemięźliwości rozumiał on w ten sposób: rano gruszka albo pomarańcza, parę winogron i biszkopt, w ciągu dnia stanowcza przewaga owoców i jarzyn przy kilku łutach mięsa; umiarkowanie w tem wszystkiem nietylko co do jakości, ale ilościowe, a nawet to ostatnie przedewszystkiem. Poczem nastąpiły powinszowania wzajemne i uznanie tożsamości metody, bo i Gladstone tego samego identycznie przestrzegał trybu życia.

Wogóle dosyć jest różnorodne zapatrywanie na warunki życia, dające rękojmię długowieczności. Jakiś lekarz niemiecki podaje wyciągi statystyczne ze śmiertelności swojego narodu, i na ich wyniku ostatecznym gruntuje swoje wskazania. Tym wynikiem dla mężczyzny ma być stan małżeński jako warunek konieczny. Czy i dla kobiety także?—zapytacie czytelniczki. Milczy o kobiecie uparcie ten egoista, a w tem co opowiada jego statystyka, nic nas nie naprowadza na myśl, żeby zamążpójście miało tak pomyślnie oddziaływać na kobietę, jak ożenienie na jej towarzysza—czy przeciwnika w walce życiowej, bo nie wiemy właściwie mówiąc, jak go określić w tym stosunku. Otóż ta statystyka twierdzi, że w ogólnej śmiertelności mieści się 27% bezżennych, a tylko 18% żonatych, a dalej, że na 50 współczesnych ludzi stuletnich ani jednego nie było nieżonatego. Jest to dosyć w istocie wymowne, ale i tego pominąć także nie godzi się, że każdy z tych

50 matuzalów był wdowcem, co jest dla kobiety wcale niepocieszającą adnotacyą. Tak jest w istocie, i wątpimy żeby kobiecie tak było bezpiecznie, zacisznie, dogodnie i korzystnie w tem pożyciu wspólnem jak mężczyźnie. Przewaga przywilejów jest całkowicie po jego stronie, i temu nikt zapewne przeczyć nie zechce, ani ten nawet, który te przywileje dosyć umiejętnie na swoją stronę wyzyskiwać umie.

Aby już wyczerpnąć na ten raz tę dziedzinę długowieczności, powiemy jeszcze jaką receptę dał znakomity lekarz francuzki dr. Chomel tym, którzy pomimo hojnego uposażenia od losu, są przecież wirtuozami prawdziwymi w sztuce skracania sobie życia. Zapytywany mianowicie przez jednego z potentatów jak żyć, aby dożyć późnego wieku, odpowiedział krótko a treściwie: „Staraj się książę nie wydawać na swoją osobę więcej jak 3 franki dziennie, a nadto pomyśl jakim sposobem mógłbyś takie 3 franki zdobyć sobie własną pracą.” Czy był wysłuchanym i usłuchanym, milczy legenda; nam się wydaje że nie, bo przypuściwszy nawet, że do wykonania pierwszej części mógłby pacyenta zmusić strach, albo jakieś analogiczne uczucie, za to druga mieści radę tak brutalną, przed którą cofnie się zawsze każda szanująca się mitra.

Coraz bardziej przekonywają się Francuzi, że umysłowość ich nie odgrywa na świecie tak pierwszorzędnej roli, jaką odgrywała przed niedawnym jeszcze czasem. W świecie mody, elegancyi, dobrego smaku, pozostali jeszcze w pewnej mierze tem, czem byli dotąd, ale ani promienie ich nauki nie oświecają globu ziemskiego tak potężnie jak niegdyś, ani język nawet nie ma już tego międzynarodowego znaczenia, jakie miał przed stu na przykład laty. Wiedzą o tem, a co ważniejsza, mówią i piszą sami. Oto co z okoliczności pewnego daru bezimiennego powiadają dzienniki francuzkie. Jakiś anonim, znany tylko dwóm członkom uniwersytetu paryzkiego przeznaczył na specyalny cel 75,000 franków, powiadając przytem, że gotów jest ofiarę swoją powtórzyć jeszcze przez cztery następne lata. Ta summa ma być podzielona między 5-ciu młodych profesorów, z których każdy użyje swoich 15,000 franków na odbycie podróży naokoło świata. Kierunku podróży, kolei ani następstwa w tem zwiedzaniu ziem obcych, nie naznacza się wcale, nadto wiedzieć ma każdy taki, który z pomiędzy licznych kandydatów wybranym zostanie, że nie było intencyą ofiarodawcy wskazywać mu jako celu kształcenia się dalszego zagranicą w jego specyalności naukowej, ale owszem idzie tu wyłącznie o to, aby młody profesor mógł i umiał oryentować się w tem, co każdy naród zrobił u siebie dotąd dla nauki oświaty i wychowania w jak najogólniejszem zrozumieniu. Jeśli przekona się że w danej gałęzi wiedzy ten lub inny naród zaszedł najdalej, niech zbada drogi i sposoby przy pomocy których wyprzedził on inne narody w tym kierunku. Jeśli widzi w życiu społecznem, w instytucyach czy obyczajach wybitne strony dodatnie, niechaj się stara poznać to życie, zbadać te instytucye, wystudyować sprężyny, którym tę stronę dodatnią w obyczajach swoich, ów naród zawdzięcza. Jednem słowem jest to jak najszerzej pojęte pełnomocnictwo dla przyswojenia swemu krajowi tego wszystkiego, co jest godnem naśladowania u obcych. Myśl to w każdym razie godna uznania i mogąca dać z pewnością rezultaty, byle wybór osób był trafny, a jest, jak piszą w czem wybierać, bo kandydatów podaje się mnóstwo. Zresztą piętnaście tysięcy franków na przeciąg 15 do 18 miesięcy trwającą podróż po świecie cywilizowanym, jest summą wystarczającą zupełnie, zwłaszcza, że i uniwersytet przychodzi od siebie z pomocą, dając urlop z prawem pobierania pensyi. To w czem upatrują dzienniki trudność największą dla uczonych francuzkich, to powszechny prawie brak znajomości języków obcych, podczas gdy z językiem francuzkim, jak wyznają same te pisma, już globu ziemskiego niestety dzisiaj nie objedzie. Tak było dawniej, ale tak już dzisiaj nie jest wcale. Język międzynarodowy to język angielski, ale po francuzku ani w Yokohamie, ani w Singapore rozmówić się nie można. Muszą się z tego niemiaszkowie cieszyć niesłychanie, jakkolwiek nie dopomaga to wcale do przypuszczenia, aby w bliższej lub dalszej przyszłości, *die Weltsprache* miała stanowić mowa tych, co się nie boją nikogo i niczego nie wstydzą.

Skoro zaczęliśmy tę pogawędkę naszą od hygieny, wypadnie nam ją chyba zakończyć radą ogłoszoną w pismach przeciw jednej z najcięższych i najpowszechniejszych dolegliwości człowieka, a którą za najcięższą uważać należy, objaśni najlepiej fakt zaszły w jednej z politechnik niemieckich. Pewien ceniony bardzo przez słuchaczów swoich profesor mechaniki stosowanej, wypisując równania na tablicy pomylił się pokilkakroć, czem niemało zdziwił audytoryum swoje, a zdziwienie to doszło do szczytu, gdy nie mogąc wybrnąć z trudności, skruszył kredę i zapytał się wprost słuchaczów: „który z panów doświadczył kiedy bólu zębów, niechaj zechce powstać z miejsca, a będę wiedział, że jestem w jego oczach usprawiedliwionym.” Z miejsc powstali wszyscy, to znaczy, że takiego coby nie cierpiał na zęby nie było w tem zgromadzeniu. Otóż zważywszy powszechność i dokuczliwość tej dolegliwości podajemy świeżo ogłoszony na nią środek, a pomimo że są tam nazwiska wynalazców, ale za to niema ani wskazanego specyfiku, ani aptekarza u którego się on nabywa, a jak niema tego, to niema i reklamy. Nieodpowiadając za skuteczność, poprzestajemy na powtórzeniu przepisu na znieczulenie zęba, a tem samem na usunięcie cierpienia. Roztwór *formolu* 40 procentowego, takiego, jaki jest w handlu, zmięszać z alkoholem 80 stopniowym i dodać do tego 20% essencyi geranium. Na wacie higroskopowej wprowadzić do zęba. Informacya powiada, że każdy aptekarz zrobić ten specyfik powinien na poczekaniu.

A. S.



MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Kochał świat cały, rad był, wesół, gotów do wszelkich usług i ofiar, byle mógł się wygadać. Stasia rozejrzawszy się po pustem mieszkaniu, zaczęła sprzątać i zbierać swe książki. I jej było wesoło; krzątając się, nuciła.

— *Gaudeamus igitur juvenes dum sumus!* — zawtórował Włodzio basem, ale wnet zmienił melodyę na oberka:

Trawka na wodzie, dziewczyno, trawka na wodzie
Trzy latam się przypatrywał twojej urodzie...

— Panno Stasiu, żenię się przed adwentem, czy panią to nie cieszy?—zawołał.

— Cieszy!—potwierdziła roztargniona przeglądając książki.

— Chciałaby pani być na mojem miejscu?—nudził dalej. — Mieć narzeczonego, kochać, być kochaną...

— Kocham, kochasz, kocha, kochamy, kochacie, kochają. Konjugacye dawno mam za sobą, na piątym kursie tego nie przechodzimy.

— Jak kto! Ja zacząłem od trzeciej klassy i uprawiam ten przedmiot dotychczas.

— Słyszałam, że pan i w czasie pisania rozprawy tem się zajmował.

— Ten plotkarz Kazio. A pani myśli że on lepszy. Jak tu był, wracając z zagranicy, to szalał za jakąś Francuzką. O tem pani pewnie nie opowiadał.

— Nie—odparła, uśmiechając się.

— No, panno Stasiu, szczerze proszę odpowiedzieć. Marzy pani też niekiedy o miłości.

— Cóż znowu! Ma mnie pan za pannę na wydaniu! Nie marzę nigdy! Żebym była mężczyzną, nie ożeniłabym się, bo nie znalazłabym odpowiedniej kobiety, a żem kobieta, nie wyjdę za mąż.

— Dlaczego?

— Bo żaden mężczyzna nie szuka w żonie człowieka, ale rzeczy wygodnej. Ja zaś rzeczą niczyją nie byłam i nie będę. Pół życia się kształcić, myśleć, rozwijać samodzielność, żeby drugie pół życia zapominać nauki, oduczać się myśleć, działać i sobą rządzić, to jest zawsze pół życia tu czy tam zmarnowane. Ja zaś zanadto drogo kupiłam sobie to pierwsze pół życia, żeby je poświęcić dla marzeń!

— To się tak mówi, a potem przychodzi piorun, i „Jeśli pierś z lodu, namiętność ją spali, a jeśli z głazu roztrzaska.”

— Piorunów się nie boję. Widywałam dość wokoło siebie tych pożarów i roztrzaskań. Wygląda to niby dramatycznie lub lirycznie, ale w rzeczywistości ani ładne, ani zabawne, ani wzniosłe!

— Przyznam pani, że i ja wolę miłość, jak małżeństwo, ale gdy nie może być inaczej.

Stasia roześmiała się szydersko.

— Otóż właśnie. Mężczyźni się dlatego żenią, i tak dobierają sobie towarzyszki życia. Że zaś ta racya wedle moich pojęć określa, czem kobieta ma być w małżeństwie, więc ja w te szranki nie staję!

— Ech, nie chciałbym z pani mieć mentorki dla panny Ireny. Pomimo wszystko, ona będzie ze mną szczęśliwa.

— Najzupełniej wierzę. Jest panną na wydaniu, na to ją chowano. Nawet może pana wodzić za nos, jeśli będzie zalotna choć głupia. Ale gdy będzie zbyt czuła, choć rozumna, to się panu prędko sprzykrzy. To wynik tej racyi, dla której się pan żeni.

— Czy pani zawsze do wszystkiego używa skalpel?

— Zawsze—to moja broń!

— Winszuję, ale nie zazdroszczę — nadąsał się Włodzio.—Z temi pojęciami musi pani być najprzyjemniej w prosektoryum.

— A panu w balecie! — odrzuciła pogardliwie.

Pogniewali się zupełnie. Włodzio stracił ochotę do zwierzeń, i wpadłszy w humor kwaśny poszedł do domu.

— Żebym tydzień pobył z tym cudakiem, obrzydziłaby mi wszystkie kobiety!—mruczał do siebie.—Co za cynizm! Ohyda!

Zamyślił się jednak, zastanowił, i dodał w duszy:

— Co prawda, w niejednem ma słuszność, ale cóż z tego. Jak jest — jest wygodniej, łatwiej, przyjemniej, i Boże broń od uczonych kobiet. Toby dopiero była nuda i fatyga, jeszcze w domu mózg suszyć, żeby z nią mówić i rezonować! Kobieta w głowie powinna mieć rozsądek—reszta zbytek.

VIII.

Pani Taida przebyła jeszcze jeden pracowity rok. Ożeniła Włodzia, postawiła na nogi Ozierską maściami i ziołami cioci Dysi, a swojem staraniem, i ona co miała mieć w synu wyręczyciela, musiała wyręczać Kazia.

Tak, bo Kazio otrząsnął się z apatyi i dzikości, począł bywać u sąsiadów, agitować na zjazdach ziemiańskich, propagować kulturę zachodu, brać czynny udział w ekonomicznem i społecznem życiu okolicy. Rozwijał się w nim człowiek czynu i inicyatywy, zawsze pierwszy z pomocą, z radą, z przykładem.

Poczęto się z nim rachować, wzywać w każdej publicznej sprawie, był członkiem różnych instytucyi, zabierał głos na zebraniach, i wskutek tego częściej był na gościńcu, niż na łanie.

Ruda jednakże prosperowała i na okolicę była wzorem dobrego gospodarstwa, świetnych urodzajów. Poczęli ludzie o niej mówić, podziwiać, chwalić.

— Jak to jednakże znać zaraz męzką rękę.

Pani Taida, co prawda, utrzymała fortunę, ale jak wiadomo nie na kobiecą głowę taki duży majątek. Ledwie młody się wziął, jak to zaraz naprzód poszło, co za fornalka, jakie zboża. Ho, ho, ten Skarszewski grubo się dorobi.

A Skarszewski między jedną jazdą a drugą wpadał do matki i dowiadywał, co się robi na polu i gumnie. Ręce jej całował, dziękował, i ani krytykując, ani doradzając, poczynał opowiadać jej gdzie był, co uradzono, gdzie znowu jedzie—dla jakiej sprawy, i pytał jej o zdanie. A ona mądra doświadczeniem, długiemi laty nauczona taktu i cierpliwości, hamowała go w jednem, napędzała w innem, przypominała to i owo.

I tak przez tyle lat samodzielna i samowolna, usunęła się znowu z pierwszego szeregu na drugi, uznanie nawet i chwałę ludzką oddając synowi. Byłaż bo przecie tylko kobietą.

W jednem tylko Kazio ją martwił. Nie chciał się żenić. Zrazu, gdy się tak rozruszał, była pewna, że lada dzień wyzna jej, że się zakochał, ale czas biegł, on się zapalał do buraków, do wzajemnego ubezpieczenia, do taniego kredytu, do szczepień ochronnych inwentarza, ale nigdy nie wspomniał o żadnej pannie.

Zagabywała go nieraz.

— No, jakże ci się podobały panny w Jeziornej?

— Przystojne! Cały dzień grają w krokieta i kłócą się po angielsku.

— A Marynia Brzezińska, to zuch dziewczyna.

— Ale zuch—do much. Jeździ wprawdzie konno, ale do ciemnego pokoju boi się sama wejść. W ogrodzie u nich wilki się lęgną.

— Mój drogi, doskonałości nie znajdziesz.

— Ja też nie szukam ani wybieram panien.

— To źle, trzeba i o tem pomyśleć. Mnie coraz ciężej, emeryturę już wysłużyłam w Rudzie.

Kazio całował ją po rękach, dziękował, wzdychał, i zagadywał o czem innem.

Drużbował bratu, i wtedy jakoby się zajął kuzynką bratowej, odwiedził nawet braterstwo w karnawale, zabawił tydzień, ale wrócił posępny.

Ozierska wypytała się przecie, że mu panna zbrzydła lataniem po wieczorach i flirtem coraz to z kim innym.

— Taka kobieta to dla mnie nie człowiek! — rzekł niechętnie. — Wstyd mi było za nią.

— Aleś wymagający!—trzęsła głową Ozierska.—Przecie młoda dziewczyna musi się wybawić, wyszumieć, wyśmiać. Powinna się podobać, ludziom pokazać na wieczorze! Tyle jej swobody, co jeden, dwa karnawały—potem klamka zapada i koniec. Przychodzą ciężkie obowiązki.

— Pewnie, że ciężkie, jeśli się do nich tańcami przygotowywa i zalotnością! — mruknął. — Zresztą, ja tam świata nie odmienię, ale jeśli mam żonę wybierać z tańca i balu, jak z targu, to się cofam od progu. Dawno pani miała list od Stasi.

— Onegdaj, oto jest, przeczytaj.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Sprawozdania literackie.

Jan Kasprowicz: Krzak dzikiej róży.

Smutne są te dni nasze, te dni, w których najsilniejsze dusze chorobie wieku oprzeć się nie mogą, w których nawet zdrowa chłopska krew jad zwątpień przyjmuje, i jadem tym się zatruwa.

Kasprowicz, syn kmiecy, pośród całego zastępu współczesnych poetów naszych wyróżniał się dotąd niezachwianą wiarą w zwycięztwo wyznawanych przez się ideałów. To też głos jego odzywał się pełnym, jędrnym, silnym dźwiękiem. Nie znał on melancholicznych omdleń, nie znał dręczącej rozterki wewnętrznej, a jeżeli czasem stawiał rozpaczliwe pytania, jak np. w wierszu: „Więc my skazani na wymarcie, na bezechowy koniec bytu?.. to w pytaniu brzmiało właściwie wyzwanie i pobudka do czynu. I ta siła, ta wiara jego była zapewne w części przyczyną jego powolności. Pokolenie nerwowców w surowych, prostych, spiżowych dźwiękach tej poezyi, szukało dla siebie wzmacniających suggestyj.

Najnowszy tom jego zatytułowany „Krzak białej róży" nie może już w ten dawny uzdrawiający sposób oddziałać na dusze chore, cierpieniem znękane, sceptyzmem zatrute.

Dusza poety sama wchłonęła jad melancholii, jad zwątpienia w zwycięztwo choćby dalekie dobrego nad złem, w trafność wreszcie wytkniętych niegdyś dróg, w słuszność haseł niegdyś w młodości wypisanych na sztandarach. Powstało więc w niej źródło nowych bólów, i z tego źródła popłynęła pieśń o wiele melodyjniejsza od dawnej, ale nie mająca już w sobie tych hartownych męzkich brzmień, które działały tak silnie na nerwy współczesnych.

Wierzyłem zawsze w światła moc
Władnącą nad mrokami,
A przecież nieraz wiarę tę
Gorzkiemi zlewam łzami.

I wstaje z morza gorzkich łez
Zjawisko wnet olbrzymie
Nachyla ku mnie smutną twarz
A Rozpacz mu na imię.

Nachyla ku mnie bladą skroń,
Źrenicą wabi ciemną,
Zamyka w uścisk, ach! i świat
Zamyka razem ze mną.

Tak brzmią pierwsze takty najnowszej pieśni Kasprowicza. Posłuchajmy dalszych. Oto bluźni on dawnemu swemu bożyszczu — tłumowi:

Przywlokłeś ku mnie—mówi doń—swe nogi żebracze,
Bose, zziębnięte w śnieżystej wichurze,
I dusza moja już litością płacze,
I już ci cały jak pachołek służę...

Przyszedłeś ku mnie ty płazie człowieczy,
Z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie

I już ma dusza ciemiężcom złorzeczy,
Już w twej obronie bicz rzemienny plecie...

Przyszedłeś ku mnie dzierżycielu pieśni,
I pokazując nabrzmiałe ramiona —
„Glob się z tej mocy rozpadnie na części,
Świat zła — krzyknąłeś — pod tym gromem
[skona!"

Tłum ten owładnął duszą poety. Ukochał go i uwierzył, że „wiekowe opoki" rokruszy. A teraz myśl jego cofa się z przerażeniem przed niszczącą potęgą tego tłumu. Aspiracye jego materyalnej jedynie natury budzą w nim wstręt

Królu w łachmanach siedzący na tronie
Z którego zdarto bisior i złocenia!
Ogniem zawiści twoje oko płonie,
Chciwość twe usta w wstrętną paszczę zmienia.
. . . .
Ty wrogu ducha! stopami z ołowiu
Zdeptałeś kwiaty, które dłoń posiała
Bożego siewcy na zwiędłem pustkowiu,
Straszny dla duchów stawiasz ogrom ciała.

Niema smutniejszego i boleśniejszego procesu, jak pozbywanie się dawnych wiar, czy to religijnych, czy społecznych. To też pełnym smutku i pognębienia jest duch poety, a modlitwa jego jest najmelancholijniejszą ze wszystkich znanych mi modlitw.

Modlitwo moja, cicha i bez słów,
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja cicha i bez słów.

Prześliczny ten utwór chciałoby się przytoczyć w całości, ale że zbyt długi, więc tylko jeszcze parę ustępów najlepiej uwydatniających bolesny, beznadziejny nastrój ducha poety.

W wiekowych bojach zwątlał zastęp dusz,
Zgłuchły zwycięzkich pochodów tententy,
Z dróg się podnosi suchy, biały kurz,
Ale z pod ciężkich stóp orkanu wszczęty,
Co w boju wieków pobił zastęp dusz.

Długie westchnienie krwawych przeszłych lat,
Zgasłych na polu przygasłej już chwały,
Oto mój pacierz! Nie cząstka lecz świat
W jego cichości zamyka się cały
Długiem westchnieniem krwawych, przeszłych lat.

Sil się milcząca modlitwo, ach sil!
. . . .
Beznadziejnością nadchodzących dni
Wzbieraj w ogromy skargi niebosięgłej
Niemej a głośnej! Dusza o tem śni,
By wzruszyć globów płomienistych węgły
Beznadziejnością nadchodzących dni.

Dramatyzowana fantazya p t. „Na wzgórzu śmierci" głębszym jeszcze tchnie pessymizmem.

Dusza (Psyche) uwiedziona przez Lucyfera i z raju wygnana, na Golgocie na widok męki Chrystusowej, usuwa się na chwilę od kusiciela wzruszona tą ofiarą, która za nią się odbywa. Ale gdy umarł Ukrzyżowany, Dusza znów w objęcia płomienne Szatana powraca. W jednym tylko cyklu „Akordy jesienne," odnajdujemy w części dawnego Kasprowicza. Z za jesiennych mgławic wołał sen młodości poety i przyniósł ze sobą dawne porywy i zapały. Poeta przypomniał sobie, że jest z ludu łez i krwi I zdawało mu się, że sen młodości jego poorane ma oblicze, i że wyrzuty płyną mu z ust...

Śnie młodości! przez szarugi,
przez bijący w oczy śnieg,
Skrzydłem wiary prułeś przestwór,
który nie znał, co to kres.
. . . .
Mknąłeś, groble rwąc i mosty
parłeś z hukiem górskich rzek
Wrzała moc w twej rajskiej krasie
boś był z ludu krwi i łez...

Pod wpływem tych wspomnień młodzieńczych krew zagrała w poecie. Harde znów jak dawniej wznosi czoło.

Dmij wicharo! —woła - dmij bez miary
Widzisz, jak się spełnia cud?
Rój żniwiarzy zbiera plony
co wyrosły z moich dum.
. . . .
A mych zwątpień, mych zachwytów
niedaremny wszak był trud,
Kłosom z moich ziarn powstałym
Błogosławi boży tum.

Dalej znów głosi niespożytość pieśni, z siłą odpiera wyroki tych grabarzy, którzy spychają ją codzień w śmierci toń.

My—przeżyci?..—woła z oburzeniem.

Nie! Z ogniem świętym, tak jak dawniej, idzie przez świat śpiewny lud.

Pieśń dzisiaj idzie cicha, skromna, i na twarz nie przywdziewa ni proroków, ni kapłanów dumnych masek.

Idzie jako prosty żołnierz,
w szarym płaszczu... Idzie w dal
Niewstrzymana... bo iść musi,
choć ma jęk za przednią straż,
A za sobą melancholię
i tęsknicę, cień i żal...

Jednym z najpiękniejszych w tym cyklu jest wiersz zaczynający się od słów:

Ziemio, droga rodzicielko!
ukochałem zagon twój...
Ziemio! ziemio! smutna ziemio!
—mówi w dalszym ciągu poeta—
snać opuścił cię sam Bóg,
Lecz przeklęta myśl niech będzie,
coby chciała szepnąć mnie,
Abym zboczył choć na chwilę
z twych żałości pełnych dróg!

Jak czytelnicy sami z przytoczonych urywków osądzić mogą, artysta wzrósł w Kasprowiczu niezmiernie. To już obecnie nie ten trudny do wymówienia i do spamiętania, ciężki nieraz i chropowaty wiersz. To pieśń, to muzyka! A mimo zatrucia pessymizmem pozostało w duszy poety wiele zdrowych, nietkniętych pierwiastków, które dopomogą mu do przezwyciężenia rozpacznych nastrojów; pieśń jego bądź co bądź rumieńcem życia zabarwia.

Chwila obecna jest zapewne przełomową w życiu jego chwilą. Z tej rozterki dusznej silna natura jego wyjdzie może hartowniejszą, bogatszą w odzienie uczuć i natchnień skarby.

H. C.

Juliusz Zeyer.

Zdrada w domu Han.

Legenda Chińska.

Przełożył z oryginału

MIRIAM.

(Dokończenie.)

— Bądź miłościwy i wysłuchaj prośbę mą! Jak trup siedzi Juenti na swej stolicy, bo dusza jego błądzi w oddali za oną kobietą, którą, sam zdradzony, wydał w twe ręce. Ujrzy obłoki płynące po niebie? Wnet przypomina sobie wonną jej szatę z wiatrem wiejącą. Spojrzy na kwiaty? Wspomina jej oblicze. Usłyszy świergot ptaka? Zda mu się, że głos jej do serca mu przenika. Nie może znieść woni ogrodów, blasku złote gędźby dźwięcznych kamieni; gędźba, wonie, barwy, wszystko wydaje mu się bluźnierczą radością w dobie smutku. Wyciął drzewa ogrodów i wokół domu, odartego ze wszystkich ozdób, zasadził gaj wierzb płaczących. „Co czynisz, panie — pytali się z płaczem jego wierni — toć wierzby sadzi się tylko na grobach?" A Juenti odpowiedział: „A jakaż różnica między domem mym a grobowcem? Czyliż nie widzicie, że już nie żyję?.." Tak to on trawi, o chanie, żywot swój! Ja wszakże przychodzę, aby u ciebie zbawienie dlań wybłagać. Panie mój, wydaj nam Czaokiun! Oto niezmierne niesiemy ci wykupne! Całą daninę ziemi Czink-czen, słynącej bogactwem, przywieźliśmy ci przez żółte pustynie. Jedwab miększy od pawich piór, ołów, sosny, abyś miasto mógł sobie zbudować, pokosty w srebrnych naczyniach, aby ściany sal twych połyskiwały grafitem, sandałowe skrzynie pełne cudownych drogich kamieni. A pereł, złota — bogactwa niezmierzone! Weź wszystko i wydaj nam Czaokiun, a wiecznie błogosławić będziem głowie twej!

Chan powstał z kobierca, a oczy jego pociemniały i stały się groźne jak burza:

— Powróćcie do ziemi swej i zabierzcie z sobą całe swoje bogactwo! — zawołał, trzęsąc się całem ciałem z gniewu i niechęci. — Chcecie, abym wam sprzedał żonę swą? Żywo, żywo, precz ztąd, póki wzburzone serce granic nie zerwie, póki nie skarzę was na śmierć za niewysłowną tę zniewagę!

Tak zawołał chan, i przerażeni posłowie bez dalszych słów pierzchli na dwór, na bezbrzeża pustyni. Przebiegli koło Czaokiun, która biała i blada opierała głowę o złotą żerdź unoszącą purpurowy dach namiotu. Stała tak bez łez, bez westchnienia, zaduma-

na, dzień cały. Gdy księżyc wzeszedł, udała się Czaokiun znów na pagórek i suchem okiem patrzała w dal, gdzie szereg wielbłądów, ciągnących z powrotem do ziemi czar nowłosego narodu, rozpływał się zwolna jak cień w mrokach nocy. Gdy ostatni zarys karawany roztopił się we mgle, zwróciła Czaokiun białe jak lilia oblicze w górę ku księżycowi.

— Juenti—szepnęła—spoczywałam w objęciu męża, któremu dałeś mnie jako rzecz martwą, zanim sam mnie ujrzałeś. Nie z winy twej ginę, zła zdrada w domu twym zgubiła nas oboje. Los nasz się spełnił, i nie chciałabym już oglądać oblicza twego. Jakże mogłabym wyjść z purpurowego namiotu chana, i wejść do kiosku pod cieniem kwitnących brzoskwiń, kędy stoi twe łoże z kości słoniowej? O żalu mój, jakże dziękuję ci za druzgoczące twe brzemię, ty dajesz skrzydła płaczącej mej duszy!

Głowa opadła jej głęboko na piersi, kolana zadrżały pod nią, i padła twarzą na ziemię. Wiatr poniósł westchnienie jej na puszczę, rosa dżdżyła na nią jak łzy, a księżyc otulił się chmurami jak czarnym zawojem. Dziewy widząc, że Czaokiun nie podnosi głowy, rzuciły na trawę swe lutnie z wonnego drzewa, pośpieszyły do niej i poniosły ten biały, złamany kwiat kameliowy do namiotu z purpury. Cicha była Czaokiun i biała jak płatek śniegu krążący nad ciemnym lasem, cicha była i biała, i zimna — skonała z żalu i tęsknoty.

Wieść o jej śmierci dobiegła do jej ziemi rodzinnej, i przeszyła jak grot serce cesarza. Pierzchł z pałacu, i błądził w górach pustynnych jak szalony. Ufał, że spotka się z cieniem jej; domagał się go namiętnie od burzy przelatującej nad wierzchołkami skał, ale odpowiadała mu tylko gromów łoskotem; domagał się tego drogiego cienia od lazurowej nocy, ale niemo patrzyła nań swemi niezliczonemi złotemi oczami; domagał się go od skwarnego południa, ale jako burza, jako noc, odpowiadało i ono niemo, tajemniczo, niezrozumiale słoneczną jeno ciszą. Zrozpaczony wrócił pomiędzy swój lud.

Niedaleko miasta żył starzec, nad którego głową stulecie przeleciało, włosy jego kwitły srebrem, tknięte skrzydłami czasu. Starzec ten nie miał domu, nie miał dzieci, nie miał nic. Jako ptak, zbudował sobie był gniazdo w koronie prastarego drzewa. Wieczorami, o zmroku marzącym, zbierał się tam ubogi lud, cierpiący przez dzień cały na skwarze, w pracy, w nędzy, i wołał w górę ku szumiącej koronie: „Ojcze! ojcze!" Starzec skłaniał się ku nim i odpowiadał na jaskółcze ich świergoty słowami mądrości i miłości, które z liściastego jego domu dżdżyły jak rosa w serca nieszczęśliwych. Długimi zastępy wracali z uśmiechem pociechy do ognisk swych i zostawionych w domu dzieci.

Do tego starca przyszedł w nocnej ciszy Juenti, siadł pod drzewem, w którego gałęziach wiatr szeleścił, kołysząc je łagodnie, przez liście którego gwiazdy pełne miru mrugały, i głosem, w którym tęsknota brzmiała i nadzieja, jął szeptać: „ojcze! ojcze!" jak to ubogi lud zwykł był czynić. A gdy starzec z uśmiechem z góry ku niemu się pochylił, zawołał cesarz gorączkowo: „Cień, jej cień chcę widzieć, ojcze!" Starzec milczał, a Juenti ciągnął dalej: „Śmierć zabrała mi ją, ta—tajemnicza śmierć; o! powiedz, co to jest śmierć?" Starzec odpowiedział spokojnie: „Śmierć! któż ją zbadał? Największy mędrzec twego ludu powiada: „Nie rozumiem życia, jakżebym śmierć mógł zrozumieć?" Juenti czekał dalszych słów, a gdy żaden już dźwięk milczenia wiosennej nocy nie przerwał, wrócił powoli, bez pociechy do domu.

— Cień jej równie stracony jest dla mnie jak słodkie jej ciało—westchnął—niechaj przynajmniej proch mój połączy się z jej prochem.

I kazał zbudować wspaniały grobowiec w łonie gór strzelających ku niebu nad falistem jeziorem, modrem w lecie, białem w zimie jak niezmierne bezbrzeże kwitnących lotosów. Budowa spoczywała na słupach prosto z wody wyrastających, ściany jej były okryte srebrem i rzeźbami z białego chalcedonu, przedstawiającemi kwiaty. W samym środku piętrzyła się wieża, zakończona złotołuskim smokiem, stojącym na tylnych łapach i wznoszącym w szponach złotą trumnę ku niebu. Dokoła grobowca i jeziora całego strzelały wysokie kraty ze srebra, na których dzwonki się kołysały, napełniając powietrze ustawiczną gędźbą swych słodkich westchnień, a na kolumnach gorzały we dnie i w nocy lampy, szerzące naokół modre, wonne dymy.

— Tu niech spoczywają popioły moje i jej—rzekł Juenti— niech jasne wody szemrzą koło nas, niechaj gwiazdy i słońce wschodzą wolno nad naszemi głowami, niech ptaki muskają miękkiemi skrzydły złoty nasz dom, a woń lotosów niech w wiośnie bije w górę, i przez szczeliny trumny jak kadzidło do nas się wciska — tak sen nasz o gorzkim żywocie słodki będzie!

Potem wysłał na żółtą puszczę posłów do chana tatarskiego, ci klękli przed nim i błagali go temi słowy:

— Oto stokrotne posyła ci Juenti wykupne, wydaj nam popioły zmarłej Czaokiun!

Lecz chan zachmurzył się posępniej i groźniej, niż za pierwszem poselstwem i rzekł:

— Odejdźcie żywo, zanim serce me wzburzy się! Jeśli nie sprzedałem żony swej, jakże sprzedałbym jej popioły? Druga zniewaga krwawsza jest od pierwszej!

Potem powiódł posłów ku pagórkowi śród puszczy, zasadzonemu sosnami i pistacyami, i rzekł im:

— Oto jej mogiła. Tu marzyła za życia, tu spoczywa po śmierci, otulona w miększe od jedwabiów szaty z sierści białych wielbłądów, które tu pod wzgórzem się pasły, gdy na szczycie jego w noce wiosenne płakała. Nie włożyłem jej do ust ani perły, ani prosz ku złotego, jeno trzy nasionka owego kwiatu, który podniosła, gdy przy pożegnaniu wypadł był z ręki cesarza Juenti.

Po tych słowach poprowadził posłów ku wielkiej pistacyi, na której wisiał miecz w złotej pochwie wysadzanej turkusami i dodał:

— Tu miecz, który was poraził. Po śmierci jej powiesiłem go na tej gałęzi Koniec mych bohaterskich czynów, koniec mych wielkich zamiarów; już nigdy z pochwy nie wyjdzie! Nie grozi już zaguba waszym domom i waszym świątyniom, bo ona miłowała was! Idźcie i powiedzcie swemu ludowi, że wówczas jeno miecz z pochwy dobędę, gdyby przyszedł kto cichy sen jej przerywać!

Tak mówił chan, i posłowie wrócili do kraju. Juenti usłyszawszy te słowa, skonał z żalu. Pochowano go w złotej trumnie nad jeziorem, którą ptaki w locie skrzydły muskają, wokół której lotosy pachną, wody szumią, nad którą gwiazdy wolno wschodzą—ale proch jego samotny, opuszczony, smutny jest i po śmierci, bo śmierć nie wróciła mu tej, którą mu żywot wziął!

A ona próchnieje tu w tej mogile śród puszczy, gdzie wiatr nad nią się żali, gdzie miesiąc w drodze przez lazury ze smutkiem zatrzymuje się nad grobem w lecie i w zimie zielonym. Śpij słodko o serce znękane!

* * *

Tak skończył pieśniarz. A podczas mowy jego minął skwar dzienny, wieczór złotym odblaskiem uśmiechał się nad stepem, białe gwiazdy wschodzić poczęły nad grobem Czaokiun, i zwierciedliły się we łzach tych, którzy uchodząc z kraju, tutaj się zatrzymali, a teraz znowu udali się w drogę. I długo, długo oglądali się wygnańcy ku ocienionej drzewami mogile, która znikała we mgłach wieczoru. Wiatr zawiał dawno ślady ich w piasku pustyni, ale burza wieków nie zawieje imienia twego, o Czaokiun, nieszczęsna i piękna córo Chin, której niezmierny ładunek złota i pereł na stu wielbłądach wykupić nie mógł!

Dr. E. Tardieu.

Psychologia chorego.

SPRAWOZDANIE.

(Ciąg dalszy).

Okropny jest rezultat tych spostrzeżeń, jakie nad ułomnością natury ludzkiej robi uczony francuzki. Nie jest to już człowiek, ten którego on decyfruje, to raczej odmiana zoologiczna, którą Zola nazwał sobie terminem: *La bête humaine.* W każdym razie tego trwożliwego egoistę, a jednocześnie wyzyskiwacza ludzkiego miłosierdzia, wtedy, gdy tego miłosierdzia zaczyna potrzebować, uważa on jako typ powszechny; inni są wyjątkami, a ci inni to słabi wedle dr. Tardieu, i ci inni znowu poszukują się i ciążą ku sobie. Do tych słabych zaliczyć wypada kobietę, która jeśli nie jest matką, siostrą lub żoną pielęgnującą z zapomnieniem całem najbliższych, swoich, to będzie siostrą miłosierdzia, która z prawa wyboru wydobywa słabe i nędzne, chore i kaleki, przygarnia i pielęgnuje.

Jakoś to można było chyba inaczej uklasyfikować, bo powiedzieć wprost, że upadająca siła musi przechodzić w zwierzęcość, że cnota serc niewieścich dlatego jest tak szczytną, że

za siedlisko obrała sobie organizm wątły, to jest chyba powiedzieć o człowieku zbyt wiele złego, a za mało dobrego. Zresztą albożnie mamy ludzi silnych ciałem a miłosiernego serca zarazem; alboż siostry miłosierdzia są wątłe, słabe, sentymentalne i dlatego wyszukują sobie tych niedobitków? Przeciwnie zupełnie; one nietylko nie są takie, ale one do szczytnej profesyi swojej nie przyjmują wcale kandydatek takich, bo z taką kobietą niewiadomo co byłoby począć. Wyszłoby w końcu na to, że siła jest tylko pozorną, że ta siła, która w życiu tworzy, pracuje, zabiega, przy zetknięciu się z nieuniknionem rozwiązaniem bytu kapituluje sromotnie, a to znowu, co jest nieużytkiem społecznym w znaczeniu utylitarnem, to potrafi być szczytnem, bohaterskiem, to może ulżyć doli drugich, to nakoniec potrafi umierać, gdy nań kolej przychodzi.

Nie można się z dr. Tardieu zgodzić na ten podział. Ostatecznie człowiek jest człowiekiem; jako taki miewa swoje wzloty i swoje chwile upadku; umierać zresztą jest ciężko, ale i to fakt także, że jakie życie taka śmierć, a kto umiał żyć, ten i śmiercią swoją tego dowiedzie.

II.

Podobnie jak widzimy zmysł wzroku potęgujący się u człowieka wtedy, gdy słuch przestaje dopisywać, zupełnie tak samo rozwija w sobie chory pewne strony uzdolnień wówczas, gdy już z innych użytku robić nie może. Intelligencya jego straciła na sile, i zacieśniono przed nią obszary; musiała się zatem zwrócić na wewnątrz—cofnęła się w głębie, zastępując przytem siłę powagą, albo przebiegłością swojego rodzaju. Nic nie rozwija darów duszy więcej, jak boleść. Chory bywa zazwyczaj pilnym analitykiem swojego duchowego wnętrza a niekiedy drobiazgowym poszukiwaczem w otchłaniach własnego sumienia. Niechaj też pamięta o tem i lekarz prowadzący kuracyę chorego nieuleczalnego, że ma w nim z pewnością sędziego bardzo bystrego, i że zawsze rozmyśla ten chory o ujęciu sobie tego, od którego teraz zależy, i używa ku temu rozlicznych sposobów.

Wogóle umysł chorego pracuje ciągle i zawsze z wysiłkiem. Trzeba przyznać, że rozmaite są stosunki rodzinne, familijne i towarzyskie; należy rozważyć jakim to może być tok myśli człowieka, który pojmuje, że nie wszyscy życzą sobie jego wyzdrowienia. Jemu ciągle przychodzą podejrzenia względem najbliższych, bo on czuje, że jego życie to majątek, pozycya towarzyska, tytuł, a w najgorszym razie, to jedno miejsce na świecie zajęte, albo wakujące. A jaki ma on wyostrzony ten swój zmysł podejrzeń! — jak on odczuje kłamstwo serdecznych wynurzeń jak się zna na wartości życzeń składanych wywnętrzeń i zapewnień! Jakżeby wreszcie nie miał tego wszystkiego rozumieć i odczuwać, kiedy on sam przed tylu a tylu laty w analogicznych wypadkach pielęgnował takie same zupełnie westchnienia mężobójcze, osłaniał je takimiż frazesami i czułościami, których ma dzisiaj aż do przesytu i aż do wstrętu około siebie. W ludziach widzi kruki i szakale, a czuje się wobec nich bezbronnym, i nie mogąc stawić im czoła otwarcie, posiłkuje się ich bronią — podejściem i fałszem.

Są jednak pewne korzyści dla niektórych umysłów i w tem nawet smutnem położeniu. Pragnienia ustają, gorączka działalności ograniczyła się; jeśli życie było dotąd bojem upartym, chory nieuleczalny wypoczywa pod pewnym względem. Instynkt zachowawczy zapanował nad nim wszechwładnie, ale naprężenie skończyło się, a naprężenie działalności, to przecież wysiłek w każdym razie. A przytem egoizmowi jego otwiera się pole wolne; liczba jego praw wzrosła—obowiązki ustały. On teraz zajęty wyłącznie sobą, i to przeświadczenie dogadza mu w pewnej mierze, bo dotąd niekorzystał z takiego przywileju. Tworzy też sobie osobnego rodzaju świat pojęć, w którym wszystko jest odmienne, niż było dotąd—małe wprawdzie, a nawet mikroskopijne, ale za to takie doskonale egoistyczne, takie jego wyłączne a niepodzielne. Oto naprzykład lekarstwo—to ostatnie, wszak ono przypadło mu lepiej niż wszystkie dotychczasowe; pewne cierpienia dotkliwe wyraźnie opuściły go; dzisiaj spał o kilka minut dłużej i zaraz czuje się zdrowszym; potrawa której znosić nie mógł od początku choroby, teraz smakuje mu szczególnie. Zrezygnowany nawet zupełnie człowiek cieszyć się jeszcze będzie takiemi lub tym podobnemi rzeczywistemi czy fikcyjnemi korzyściami; widząc że traci wszystko, pociesza się każdą odrobiną, którą odzyskuje.

Smutne to są zwykle tryumfy, po których gorycz upadku podwójnie uczuwać się daje Gdyby się nie żałowało tego biedaka, śmiech by on budził tym swoim inwentarzem wygranych życiowych, które tak skrupulatnie regestruje. Oto jest ten nienasycony ambitnik wczorajszy, oto człowiek któremu całej pochodni życia tak niedawno było za mało, a który teraz cieszy się dopalając do ostatka lichą świeczkę, jaka mu pozostała w ręku, i lubuje się jej płomykiem znikomym, i ludzi lada połyskiem jaskrawszym. Bardzo rozmaicie oddziaływa na człowieka choroba. Są ludzie umysłu wrażliwego połączonego z temperamentem mało ruchliwym, a nawet z pewnem lenistwem ciała, których nadczułość intellektualna wyczerpywać się zaczynała już w peryodzie poprzedzającym ostatnią niemoc. Ci godzą się z położeniem i w cierpieniu długiem znajdują nawet pewne strony dodatnie. Joubert powiedział: Jest taki stan złego zdrowia, który człowieka robi szczęśliwym. Działacz czynny przechodzi na spektatora areny życiowej i rozkoszuje się ciszą, spoczynkiem, choćby monotonją. Ten zaś, który wewnątrz wzywał już spokoju za wszelką cenę, osiągnął ostatecznie tylko to, czego pragnął najbardziej. Wypada tutaj dodać koniecznie, że czynność umysłu i jego względne bogactwo, jest tego rodzaju odczuwania błogości warunkiem nieodzownym. Człowiek ciemny, ospalec intellektualny, dusza pospolita i zmysłowość ludzka zupełna, nie mają tego rodzaju ucieczki—przeciwnie zupełnie. Takich wszystkich choroba długa i ciężka zbliża do stanu zwierzęcego, do idyotyzmu, do bytu roślinnego zupełnie. Bez rozwoju umysłowego niema dla chorego książki, przy której zapomina się o cierpieniu, niema myśli, a tem mniej wspomnień; chory o ciasnej intelligencyi cierpi zazwyczaj podwójnie.

Dla ludzi czynu, w rozumieniu codziennèm, choroba bywa uderzeniem maczugi. Wszystko u nich zatrzymuje się naraz. Człowiek taki skazany przez lekarza na spokój nieograniczony, to w pewnym względzie zwierzę zamknięte w klatce. Czy był ogłupionym pionkiem w jakimś zawrotnym mechanizmie fabrycznym, czy namiętnością jego było zbieranie pieniądza, czy szedł przed siebie popro stu jako robotnik nałogowy ignorujący wszystko co jest poza jego trudem albo jego namiętnością, człowiek taki zatrzymany na drodze swojej działalności cierpi dotkliwie, i trudno mu jest pogodzić się z losem.

Mówią, że mało jest ludzi, którzy w pewnych dniach krytycznych nie byli gotowi odebrać sobie życia. Nie przecząc, że tak jest w istocie, utrzymuje dr. Tardieu, że taka gotowość, czy postanowienie takie bywa w przeważnej ilości wypadków rezultatem źle sporządzonego życiowego bilansu. Jeśli tylko człowiek taki zachował zdrowie, nic dlań straconem nie jest naprawdę. Ale za to ten, który jest skazanym nieodwołalnie, pomimo że cierpi, że nie widzi przed sobą ocalenia, do postanowień samobójczych ucieka się nader rzadko. Ludzie w pełni sił zabijają się na drugi dzień po doznaniu jakiejś wielkiej przegranej życiowej; chory nieuleczalny, który przecież przegrał wszystko, a w dodatku przegrał bezwarunkowo, jest to tylko dziecko bojaźliwe, które się nauczyło schylać przed koniecznością, przechodzić od ustępstwa do ustępstwa, i to tak już będzie z nim aż do końca, aż do ostatniego tchnienia.

(*Dokończenie nastąpi*).

Ś. † P.

Ks. Cyryl Lubowidzki

Biskup Łucko-Żytomierski

rozstał się ze światem w d. 9 czerwca 1898 roku w wieku lat 75.

Do seminaryum wstąpił w r. 1837, a w r. 1841 do akademii duchownej, gdzie zmarłemu przyznano podówczas tytuł magistra ś. Teologii. Za czasów rektoratu ks. Hołowińskiego mianowanym został profesorem Teologii Dogmatycznej, i na tym stanowisku pozostał lat trzydzieści.

Obowiązek administratora dyecezyi Łucko-Żytomierskiej spełniał do dnia 1 Lipca 1883 roku, a w następnym roku otrzymał z rąk J. E. Biskupa Bereśniewicza infułę biskupią.

Ś. p. zmarły dostojnik Kościoła pozostawia po sobie szacunek powszechny i żal szczery wszystkich, którzy byli świadkami jego życia.

KRONIKA.

Z kassy imienia I. Mianowskiego.

Komitet zarządzający kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, ogłosił sprawozdanie swoje za rok ubiegły. Dowiadujemy się z niego, że w roku minionym uzyskała kasa następujące nowe wpływy: a) z zapisu ś. p. Julii Ekeltowej 40,434 rs.—z zapisu ś. p. Ottona Rząśnickiego rs. 1,000—z daru pp. Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga 5,000 rs. — z drobniejszych składek jednorazowych rs. 1,619 – razem rs. 48,033.

Podań o zapomogi i pożyczki na cele i badania naukowe złożono komitetowi 20, a z tej liczby uwzględniono w całości lub w części 15. Ogólna summa wypłat w tej pozycyi wyniosła summę rs. 7,195.

Podań o zapomogi i pożyczki na wydawnictwa złożono w roku sprawozdawczym 65, a z nich uwzględniono w całości lub w części 34; wypłacona summa zapomóg i pożyczek wyniosła tu 12,609 rubli.

Z zapisów i funduszów specyalnych wypłacono 7,163 rs.

Informacye.

Inspektor szkół miejskich w Warszawie zawiadomił magistrat, że w 32 szkołach, które otwarte być mają w roku nadchodzącym, wszystkie miejsca zostały już zajęte, przyczem podań nieuwzględnionych okazało się z górą 700. Wobec tak znacznej ilości kandydatów odrzuconych, inspekcya szkół żąda od magistratu Warszawy, aby tenże przy ustanawianiu budżetu na rok 1899 uwzględnił konieczność założenia nowych szkół miejskich.

Redakcya „Słownika języka polskiego" podaje do wiadomości, że dla ułatwienia nabycia tego dzieła, postanowiła przyjmować opłatę prenumeracyjną w czterech ratach po rs. 2 kop. 50 każdorazowo. Nadsyłać i składać można w administracyi „Gazety Handlowej" Szpitalna nr. 10.

Z prasy.

Z wielką słusznością powstaje feljetonista „Prawdy" przeciwko coraz bardziej rozpowszechniającemu się u nas zwyczajowi pisania powieści z numeru na numer, przyczem wykazuje, co na tym zwyczaju koniecznie tracić musi utwór pisany pod naciskiem, bez wykończenia artystycznego, konsekwencyi, a najczęściej bez założenia i myśli przewodniej. Sofistyka pisarzy małego talentu, dostarczających taki towar obstalunkowy, i usprawiedliwiających to co im dogadza, nie przekona nikogo z tych, co się ile tyle rozumieją na warunkach twórczości, którzy pojmują, czem jest dla piszącego termin, jego nacisk moralny, wreszcie sam sposób tworzenia przy nieodstępnej egzekucyi redakcyjnego chłopca przestępującego w przedpokoju z nogi na nogę, zaglądającego przez szparę drzwi, i wzdychającego na myśl, że się z rękopisem na godzinę naznaczoną stawić nie zdoła. Ktoby zaś chciał stworzyć sobie pojęcie o rozstroju myśli piszącego w ten sposób, o komplikacyach i śmieszności sytuacyi ztąd powstałych, ten koniecznie raz przynajmniej potrzebowałby widzieć ofiarę, która dwóm lub trzem naraz pismom przyobiecała prace swoje, i która taką tandeciarską prawdziwie robotą obsyła kontrahentów swoich. Niewiadomo już co jest wtedy przykrzejszem, czy widzieć człowieka w ten sposób rozrywanego, czy być zmuszonym do odczytywania tego wszystkiego co mu w chwilach podobnego zniemożenia, w jego ciężko udręczonej głowie się zrodziło. Pominąwszy już całą szkodliwość powstałej tym trybem tandety nowelek, powiastek i powieści, nie możemy niezharmonizować się z autorem artykułu, gdy nam przychodzi na myśl, że i ludzie prawdziwego talentu dają się wciągać w takie niedosyć dla nich poważne, a zawsze dla ich wziętości literackiej zgubne umowy z wydawcami. Wydawca to jest przedewszystkiem człowiek tylko spekulujący, a nadto zwykł on spekulować na bliższą metę, i poza sprawą swojego natychmiastowego zysku, nie oglądający się ani na marniejącą dzięki jego tranzakcyi twórczość choćby najpotężniejszą, ani na szkodę, jaka się dzieje literaturze, ani na zawód na jaki koniecznie narażoną być musi przy tym trybie publiczność czytająca. Wydawcy to wszystko jest i będzie zawsze obojętnem, byle doraźnie sprzedać można z zyskiem nazwisko, największą chociażby literacką zasługą, wsławione. To są sprawy smutne i mało moralne przytem, a w tem zapędzeniu się swojem za zyskiem, nie rachuje się zazwyczaj nakładca z żadnymi względami dalszymi, nawet z takimi, które jego zarobków jutrzejszych dotyczą. Gdybyż ci panowie chociaż znali psychologię czytającego, może nie byliby przynajmniej tak pohopni do ujawniania, całej zakulisowej manipulacyi, i nie ogłaszali urbi et orbi, że autor taki a taki przerywa pracę swoją na czas jakiś, a jak powróci to ją rozpocznie znowu. To już jest nieświadomość godna prawdziwie ludzi hurtownie handlujących myślą ludzką. Czytający to jest albo człowiek obdarzony zmysłem artystycznym, albo pozbawiony tego poczucia, albo entuzyastyczny ale krytyczny zarazem czciciel tego co szlachetne i piękne, albo pierwotniak jakiś, który mało rozróżnia i nic do serca nie bierze. O tych ostatnich, o te zera, o tych obojętnych, drętwych, nieuświadomionych, ani autorowi, ani wydawcy iść nie powinno, trzebaby jednak pomyśleć nad tem, jak oddziaływa na tych pierwszych, na tę elitę intellektualną sama wiadomość, że to dzieło, które ktoś rozpoczął w skupieniu ducha i z pietyzmem dla wielkiego imienia odpowiednim, że to dzieło dopiero się robi, piecze, przykrawa i zszywa. Eh! to szkoda nawet mówić o tem, bo to są rzeczy nadzwyczajnie przykre.

Z letniego karnawału.

W porze dorocznego napływu do Warszawy gości prowincyonalnych, teatry i teatrzyki warszawskie dają sposobność do obserwacyi dosyć ciekawych, z zastrzeżeniem wszakże, aby obserwujący miał należytą znajomość rozmaitych warstw naszej społeczności, bez tego bowiem nie zdoła on sobie zdać sprawy z przyczyn pewnego ruchu dosyć niezwykłego między publicznością, normalnie nawiedzającą nasze widowiska. Ruch ten trafiający się podczas przedstawień operetkowych, narusza spokojność i przeszkadza reszcie widzów do wysłuchania w należytem skupieniu ducha przedstawianego arcydzieła, tembardziej, że zwykł on trafiać się w miejscach sztuki najefektowniejszych — tych mianowicie, dla których przychodzą ci wszyscy, którzy wiedzą po co przyszli. Tę przeszkadzającą część publiki niesforną czy kapryśną, a może tylko niedostatecznie przygotowaną intellektualnie do skorzystania z dobrodziejstw, jakimi darzy nas operetka, stanowią matki wychodzące z córkami w międzyaktach, aby nie powrócić więcej, albo co gorsza dopuszczające się takiej krzyczącej niewiaściwości przy pierwszym esencyonalniejszym dwuznaczniku, albo przy pierwszych ryzykowniejszych gestach tańca mającego przecież prawo obywatelstwa w całym świecie cywilizowanym. Takiej nieznajomości życia matek rodziny zamieszkałych na prowincyi, trudno byłoby w samej rzeczy wybaczyć im, gdyby nie wzgląd, że publiczność prowincyonalna, czytająca pisma warszawskie, jest systematycznie przez te pisma, na tym równie jak na wielu innych punktach, mistyfikowaną. Pisze się naprzykład, że muzyczka takiej a takiej operetki jest milutka, sympatyczna, lekka jak zefirek, że humor librecisty niezrównany, a reżyser baletu przeszedł samego siebie w układzie tańców i t. p. i t. d., ale nie wzmiankuje się, czy humor pana librecisty kwalifikuje się dla kobiet młodych wychowanych w rodzinie, czy też przypada do miary upodobań mieszkańców kordegardy. Trzebaby to jednakże w sprawozdaniach pism uwzględniać, bo niby nie wszyscy jeszcze w tym kraju dzielą gusta estetyczne aż tak wyrafinowane; trzebaby zrozumieć, że skoro znajdują się tacy i tacy, którzy ruszają ramionami na widok matki wyprowadzającej dziecko swoje z widowiska, gdy je uważa za nieodpowiednie i poniżające kobietę, to muszą też być i inni, którzy z niemniejszem zdziwieniem oglądają mamy rozkoszujące się narówni z córkami swemi przedstawieniami, których obyśmy nigdy nie byli zobaczyli na naszym gruncie.

Umiemy sądzić, potępiać i szydzić, a oduczyliśmy się odróżniać pokarm zdrowy od zatrutego, wesołość od swawoli i oceniać wyższość obyczaju własnego nad wszelką zgnilizną obcą; nadewszystko straciliśmy sąd o tem, w czem należy upatrywać źródło siły i rękojmię odporności.

Wskazówki i rady.

Nowy sposób używania piany z białek do legumin.

Piana po ubiciu bardzo prędko wodnieje, otóż aby włożona w leguminę lub jakiekolwiek ciasto, budyń czy suflet nie wodniała, należy przeznaczony cukier do leguminy, naturalnie bardzo miałki, podzielić na połowę, jedną część włożyć w ciasto, podług przepisu, a drugą po ubiciu najdokładniejszem piany, dosypywać, dzieląc na trzy razy, po trochu do piany i bić znowu silnie za każdym razem, przez co piana bieleje i sztywności nie traci, włożona do ciasta, pomimo koniecznego następnie mięszania.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Іюня 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Sokolnik atoli nie darmo ocierał się o księcia kanclerza; bezcelowie żadnego kroku nie przedsiębrał i nie było wątpliwości, że miał pewne swoje wyrachowania.

Kazimierz udał, że zmiany nie uważa, zachował wiernie tenże sam tryb stosunków, spoważniał tylko względem pana domu i często, spokojem postawy, jednym wyrazem, zmuszał go do powrotu w dawne łożysko.

Szambelan zacząwszy od pana i pani domu, aż do gości i domowników, każdego miał za nic. Jeżeli kiedy zapomniał się i cisnął komu grzeczne słowo, wnet doń przyłączył to szyderskie lekceważenie, które zamiast przyjemności odrazę budzi w słuchaczu. Drwił sobie lekko z Sokolnika, nie szczędził subtelnych przycinków jego żonie, Maryi przez ramię sypał grzeczności, gości zaś wchodzących do salonu mierzył oczyma, opatrywał od dołu do góry, jak gdyby szukał plamy na ich odzieniu, lub głęboko się zastanawiał nad szewcem ich albo perukarzem.

Kazimierz obojętnie pomijał niemca, o ile możności unikał z nim rozmowy, mniej go bowiem raziło, gdy Szambelan nie wprost przed nim swoje sposoby widzenia roztaczał.

Panicz wiedeński miał w sobie coś z natury błędnego ognika; puszczał się w ślady za odchodzącymi, lubił wsteczne zaczepki i byłby chętnie napadł na spółzawodnika, ale słowa stygły mu na ustach, ile razy chciał wysunąć się z złośliwą jaką względem Kazimierza uwagą. Nie mniej przeto żywił sobie skrytą ku niemu niechęć, a nie śmiejąc otwarcie nań poskoczyć, ubocznemi ścieżkami go docierał. Jątrzył go widok Maryi, która oczywiście radziej lgnęła do narodowych żywiołów. Szambelan mścił się językiem.

Tak naprzykład, często w salonie, rozprawiał o korzyściach, jakie pociągało za sobą świetne urodzenie; użalał się nad smutnym stanem ludzi, którzy, niekiedy dobrze wychowani, umiejący przyzwoicie znaleść się w wykwintnem towarzystwie, musieli niewinnie cierpieć za niedostatek ten spadły wraz z grzechem pierworodnym, ale w tem gorszy od grzechu, że niczem zmyć się nie dawał.

Kazimierz nie podnosił podobnych rozumowań; odbijały się one o pancerz jego obojętności, Marya zaś słuchając ich doświadczała niewytłumaczonej boleści, udręczenia moralnego, z którego nie mogła zdać sobie sprawy.

Rodzice jej i towarzystwo nie przypuszczali żadnego porównania między Kazimierzem a Szambelanem. Pominąwszy bowiem niezaprzeczoną wyższość, jaką drugiemu nadawały, znakomite nazwisko i sam ród cudzoziemski, Fürstemberg daleko więcej ich bawił.

Panicz wiedeński, od kolebki niemal otarty o pierwsze w Austryi osoby, umiał na pamięć tysiące dowcipnych słów, zabawnych wydarzeń, w których ostatni aktor był jeszcze jednym ze znaczniejszych panów cesarskiego dworu.

Trzeba było widzieć, jak go osiadano do koła, jak wytężano uszy, aby jednego słowa, jednego gestu nie stracić, gdy rozpoczynał kronikę głównych wypadków życia hrabi Lobkowitza, gdy przypominał trafne odpowiedzi księcia Lichtensteina, tego samego, którego dla dziwnej otyłości znano w Wiedniu pod przydomkiem „Monstrum.“ Cóż dopiero, gdy przyszła kolej na miłostki hrabiego Montenegro, na psoty Vieil Castela, na anegdoty o sekretarzach francuzkiego poselstwa, na przepych węgierskich magnatów, na summy wygrane w karty lub przegrane w pewnej ambasadzie. Niepodobna było nasycić się zabawnemi awanturami, i chociaż Szambelan często powtarzał te same, z taką wiernością, że nie opuścił ani jednego przestanku, wszyscy jednak, w stosownych chwilach, razem podnosili okrzyki zadziwienia, razem wybuchali śmiechem, lub równie wiernie powtarzali wtrącone już raz w tych samych miejscach uwagi i zapytania.

Zaloty do Maryi Fürstemberg odprawiał równie ekscentrycznym sposobem. Wtajemniczał ją do hippiki, do sztuki hodowania psów, ta ostatnia nie wiem jak się po grecku nazywa, pamiętam tylko, że od psów, cynicy wzięli nazwisko.

Należy wreszcie oddać mu sprawiedliwość; Szambelan nadskakiwaniem nie uprzykrzał się zbyt Maryi; czuł on dobrze, że wygrana sprawy zależała od zjednania sobie rodziców; zostawiał więc Maryę jej upodobaniom, wystrzegał się wszelkich oznak uczucia lub zazdrości, śmiesznych dla człowieka wyżytego w wielkim świecie, i zanimby o jedynaczkę stanowczo się odezwał, czekał dowodnego przekonania, czyli Sokolnik, rzeczywiście, jako udawał, przewala się na złocie.

Piotr pilnie zastanawiał się nad obrotem rzeczy, nie tracił z uwagi żadnej poszlaki, najmniejszego szczegółu. Urok ciemnych oczu Maryi zaślepiał go na rzeczywistą stronę wypadku.

— Sokolnik — mawiał sam do siebie Poraj zafrasowany—nie darmo tyle lat strawił w Wiedniu; przesiąkł on tam nawskroś niemieckiemi zasadami i miłością ku cudzoziemczyznie. Z jego strony, Fürstemberg nie znajdzie żadnych przeszkód; pani Sokolnikowa nie ma głosu; panna, to dziecko! uczyni co jej każą, i tak biedny mój brat dostanie odprawę. A stryjowskie marzenia w cóż się obrócą?.. a tyloletnią krwawą pracę dla kogóż zaniechać?...

Piotr załamywał ręce z rozpaczą; chodził jak obłąkany po pokoju.

— Mój Boże! — mówił sam do siebie — za cóż mnie tak srogo karzesz? czyliż w życiu nie doznam żadnej pociechy? czy już żadnego celu przed sobą nie ujrzę?... A ja stary fiksat, głowę łamałem, jakby im dom urządzić, jak ogród założyć!... Nie pominąłem żadnego szczegółu, sam chciałem wyprowadzić się do innej wioski, byle im tylko było dobrze. Pokazuje się, że wszystko przepadło z kretesem!... Ha, przeklęty, wiedeński trefniś!...

Piotr zaciskał ręce, jak gdyby na miazgę tarł między niemi szambelana i śmiał się szatańskim śmiechem ballady lub melodramy. Rzucił się wreszcie na krzesło i podparłszy głowę na łokciach, wpadł w głębokie zamyślenie.

Ale gdy pierwszy wybuch w nim przeminął, powstał, zespokojniał na duchu, choć na czoło trudno mu było wywołać dawnej pogody.

— Zwolna paniczu — ciągnął dalej — jeszcze to nie wygrana, jeszcze nie spadłeś z ambony! Wreszcie, któż mi zaręcza, że wszystkie te pogłoski nie są najnikczemniejszemi plotkami — pytam się, kto mi zaręcza — hę?... Tu nie ma co owijać w bawełnę; niechaj niemiec jak chce się podkrada, i któż mi zabroni, szczerze, otwarcie dochodzić prawdy? Zamiast dręczyć się niepotrzebnie, od razu poznam czego się trzymać.

Ostatnich słów Piotr domawiał, zbierając chustkę, rękawiczki i kapelusz, poczem puszczał się prosto do Sokolnika i tam bądź co bądź postanowił dobić się prawdy, to jest z pewnością wywiedzieć, jak daleko zaszły stosunki między Szambelanem a panną Sokolniczanką.

Dygnitarz tymczasem niby biegły wódz, śledził poruszenia otaczających go napastników; jako bowiem człowiek rozsądny i wytrawny, uważał wszelkie zetknięcia ze światem za potyczki, w których zręczniejszy, chociaż ze szczupłemi siły, nieochybnie wygrywał.

Szambelan i Poraj niewątpliwie starali się oba o rękę jego córki.

Przyjęcie pierwszego zapewniało mu sowite pomnożenie wpływów w Wiedniu. Niemiec wprawdzie nie był bogatym, ale przez krewnych mógł u księcia kanclerza wyjednać znaczne łaski dla teścia lub dla innej jakiej osoby, Sokolnikowi nieodbicie potrzebnej. Za pośrednictwem Szambelana można było pomyśleć o ubaronowaniu głównego wierzyciela, Dahlman zaś, na widok pargaminu z pieczęcią nie cofnąłby się od pewnych ze swojej strony poświęceń.

Tyle można było wyciągnąć z Fürstemberga. Połączenie z Kazimierzem było mniej świetnem, dalekiem nawet od świetności, ale natomiast Piotr Poraj siedział na potężnej skrzyni, na skrzyni, przed którą sam Dahlman nisko czapkował, skrzynia zaś w owym już czasie dobiegała wysokości opurpurowanego tronu. Korzyści z drugiego związku były bezpośrednie, natychmiastowe, tem ważniejsze, że magnat nie mógł swego ocalenia odkładać na daleką przyszłość. Zwłoka niezaprzeczenie groziła mu upadkiem. Wypadało śpiesznie i koniecznie jednego z dwóch wybrać i albo, materyalnym widokom poświęcić własną godność, blask nazwiska, od kolebki wpojone zasady, albo okazać się prawym następcą przodków i oddać córkę Szambelanowi.

Nieszczęście, że Marya nie miała siostry; węzeł sam by się rozwiązał. Zapolowanoby odrazu na wpływ i na dostatki; wypłaconoby dług pamięci antenatów i hypotecznym wierzycielom. Nie byłoby o czem myśleć. Pozostawała jedna tylko gałązka ratunku, trzeba było i za tę umieć się zaczepić.

W każdym razie nie szkodziło przez pewien czas utrzymywać równowagę między dwoma spółzalotnikami, zasłaniając się nimi przeciw natarczywościom losu, i każdego z ko lei używając stosownie do natury przeciwników.

Sokolnik przemyśliwał, ważył w głowie zamiary, cieszył się swoją zręcznością, gdy błogie pasmo tych marzeń, przecięło mu nagle doniesienie o przybyciu Piotra.

— Proszę, bardzo proszę — krzyknął dygnitarz głosem dźwięcznym i tak donośnym aby go przychodzień usłyszał; zarazem sam, wyszedł na spotkanie.

— Otóż to nazywa się nie zapominać o swoich znajomych — mówił dalej, wyciągając ku niemu dłonie — i po chrześcijańsku wybaczać ludziom ich opieszałość. Oddawna wybierałem się z odwiedzinami do kochanego pana Piotra. Proszę cię dalej, tu, do mego gabinetu zastałeś mnie samego. Panie moje opuściły nas, wyjechały na miasto.

Piotr przez drogę ochłonął z pierwszego uniesienia; uczuł, że nie miał żadnego prawa mięszać się do spraw domowych Sokolnika, nie odstąpił wszelako od pierwszego zamiaru postanowił tylko ukrytymi środki do skutku go przyprowadzić.

— Mówiono mi — rzekł Piotr — że pan hrabia chcesz wyjechać na wieś; pragnąłem przed odjazdem pożegnać panią hrabinę i pannę Maryę.

— Nic dotąd pewnego; dzień jeszcze nienaznaczony — odparł magnat, założywszy nogę na nogę i wywracając się w krześle; mam we Lwowie kilka interesów do załatwienia; przed dwoma tygodniami nie podobna mi ruszyć się z miejsca.

Piotr pomyślił, że Sokolnikowi niewątpliwie musiało chodzić o wydanie za mąż córki i rzekł:

— Tak, więc pan hrabia zamierzasz aż do letnich kontraktów pozostać we Lwowie?

— Bynajmniej; wiesz dobrze panie Piotrze, że my rolnicy z powołania, potrzebni jesteśmy na wsi. Zdaje się, że zboże nawet, bez naszego dozoru rość tam nie potrafi. Przez całą zimę ani zajrzałem do domu, i włosy stają mi na głowie, gdy pomyślę o zaległościach, jakie czekają mnie za powrotem. Nie każdemu Bóg dał twoją czynność i zabiegłość, panie Piotrze. *A propos!*... dobrze, że jesteśmy razem; chciałem cię właśnie zapytać, jak idą interesa zbożowe, zwłaszcza spławy po Dniestrze? tego roku, podobno panowie spekulanci spodziewacie się złotej ulewy?

— Ulewy, niekoniecznie; skarżyć się przecie nie można, ceny zboża niesłychanie podskoczyły. Co do mnie, rad jestem, żem zachował dwuletnie zapasy.

Sokolnik odkrył w tej chwili w twarzy Piotra coś szlachetnego — coś dziwnie ujmującego.

— Szkoda — mówił Poraj — że państwo mieszkacie w tak odludnej okolicy. Bez blizkich sąsiadów, życie na wsi czasami musi być przykrem, mianowicie dla panny Maryi, która, jak uważałem, lubi towarzystwo.

— Zapewne — przerwał Sokolnik — alež wiosna sama przez się ma dość powabów; sądzę wreszcie, że dobrzy nasi znajomi nie ulękną się odległości. Powiadasz panie Piotrze, że od dwóch lat nie sprzedałeś ani ziarnka zboża; w takim razie musiałeś tego roku wyprawić porządną ilość?

— Dokładnej odpowiedzi nie potrafiłbym dać na pamięć. Oprócz własnego miałem i kupne, przytem należałoby dodać zbiór z dwóch folwarków pod Bukowiną, które dopiero od trzech lat są w mojem posiadaniu.

Jakto? nabyłeś pan dobra pod Bukowiną? nic o tem nie słyszałem. Cóż cię tak daleko zaniosło?

— Nie mogłem postąpić inaczej; interes przedstawił się pod takimi warunkami, że grzechem byłoby go opuścić. Jedna wycięta część lasu i dwuletnie zboże, powrócą mi zapłaconą cenę. Piękny to kraj! żałuję, że zbyt oddalony, inaczej może miałbym przyjemność oglądania kiedy pana hrabiego u siebie na polowaniu. W naszej okolicy nie mamy pojęcia o podobnych polowaniach; stepy przytem do chowu koni — jedyne. Pan hrabia, jak wiem, jesteś lubownikiem koni i znawcą, słyszałem także raz pannę Maryę mówiącą; że przepada za jazdą konną, zapewne dla tego spieszno jej na wieś?

W istocie, córka moja namiętnie lubi tę rozrywkę, nowa moda; za naszych czasów nikt o tem nie myślał. Niech sobie jeździ, skoro ją to bawi; za powrotem na wieś będzie mogła zadość uczynić swemu upodobaniu.

Sam jednak, panie Piotrze, nie zamierzasz wkrótce wyjechać na Bukowinę. Nie pojmuję, zkąd ci ochota do ciągłego ruchu, do nieustannych trudów? Pytam wreszcie, dla kogo pracujesz?... bezżenny, bezdzietny, i jak sam dałeś się słyszeć, dośmiertnie przywiązany do twego kawalerstwa...

— Dla kogo pracuję?—odparł Poraj z uśmiechem, albož nie mam dla kogo pracować?... albož nie mam brata?... Panie hrabio, kogo Bóg obdarzył takim, jak Kazimierz bratem, ten może śmiało nie tęsknić ani za żoną, ani za dziećmi. Różnica wieku między nami znaczna, uważam Kazimierza więcej za syna niż za brata. Ja za mało pracuję, ja za wiele jeszcze dbam o siebie, pytam bowiem na co komu się przydam, stary bezżennik? pytam, czy mogę znaleść w życiu ważniejszy cel, nad oddanie się całą duszą szczęściu mojego chłopca, nad pokazanie mu, że zasługuję na szlachetne jego przywiązanie, że umiem cenić jego zacne serce, jego prawy charakter. Panie hrabio, Kazimierz jest nie tylko moim bratem, ale i wychowańcem.

Sokolnik pilnie przysłuchiwał się gorącym wynurzeniom Poraja, rozrzewniał go widok rzadkiej zgody, płomiennej przyjaźni między dwoma braćmi, z których starszy, bezżenny, bezdzietny, za pół darmo nabył dobra pod Bukowiną, miał ogromny ładunek zboża na Dniestrze, rozległe majątki w Galicyi, znaczne kapitały — i to wszystko pozostawiał ukochanemu młodszemu bratu; więcej nawet, dodawał jeszcze do powyższych dobrodziejstw znakomite zdolności i żelazną pracę reszty dni swoich, którą wyłącznie na usługi tegoż ukochanego brata poświęcał. Tyle zaparcia samego siebie, tyle ojcowskiego przywiązania zaszczepionego na braterskiej przyjaźni, na wskroś wzruszyło Sokolnika.

Papiery Szambelana poczęły nagle spadać.

— Rozumiem cię kochany panie Piotrze, rozumiem — rzekł magnat po chwili, z rozrzewnieniem ściskając mu rękę — to uczucie po święcenia, to życie dla kogoś innego, niżeli dla siebie, nie jest mi obcem. Ja także, mam jedyne drogie dziecię, dla którego pracuję, którego przyszłość stoi na czele trosk moich.

— I zarówno też pan hrabia możesz poszczycić się córką przed światem; pannę Maryę podziwiają dalecy, uwielbiają blizcy znajomi. Pojmuję, o ile ustalenie jej losu może niepokoić zacnych rodziców, sądzę wszelako, że pod tym względem pan hrabia nie powinieneś poddawać się obawie. Nie bez tego, abyś dotychczas nie znalazł stosownego środka na rozwiązanie niepokojącej zagadki.

Tym razem pocisk był wprost wymierzony; Sokolnik nie mógł wymknąć się przed odpowiedzią, a poczuł dokąd zmierzało zapytanie. Piotr wytężył słuchy, czekał czyli kamień runie mu na piersi, lub też nadzieja oskrzydli złocistemi pióry.

Sokolnik oparł się o ścianę, wlepił oczy w sufit, na twarz przywdział frasunek, i rzekł:

— Wprawdzie Pismo nas uczy, że znajdziemy byleśmy szukali, ale ja tych wyrazów w zupełności do siebie stosować nie mogę. Wiesz, panie Piotrze, że człowiek nigdy sobie dość nie ufa, gdy mu idzie o rozporządzenie losem jedynego ukochanego dziecka; sam pojmujesz, jak świętą powinnością jest zadość uczynić wszelkim towarzyskim wymaganiom; inaczej niema rękojmi prawdziwego szczęścia na ziemi. Maryi, dzięki Bogu, nie zabraknie na pretendentach; tem lepiej, jeżeli jest w czem wybierać, ale sam tenże wybór ileż przedstawia trudności!

Wzmianka o towarzyskich wymaganiach, dała uczuć Piotrowi, że dygnitarz rozumiał przez nie nazwisko znakomite, utytułowane; właśnie warunek, jakiemu odpowiadał Szambelan Zwątlał więc na duchu i przytłumionym głosem rzekł:

— Wybór zależy także od panny; mniemam, że pan hrabia jako światły i przywiązany ojciec nie chciałbyś postąpić wbrew jej uczuciom.

— Gdybym miał syna—odparł Sokolnik—niewdawałbym się w jego postanowienia, ale dziewczęta tak powierzchownie znają świat, tak ślepo dają uwodzić się chwilowym popędom, tak mało wiedzą czego im potrzeba, że daleko dla nich bezpieczniej zdać się w tym względzie na wolę rodziców.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

———